

Warszawa dnia 19 Lipca 1865 roku.

Nr 29. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

RYSZARD COBDEN.

Na początku kwietnia, roku bieżącego, w mieście Angielskiem Manchester, zakończył na łonie rodziny piękny swój żywot, jeden z najszlachetniejszych myślicieli naszego wieku: Ryszard Cobden. W nielicznym gronie ludzi, dobru ogólnemu poświęconych, zajmuje on najzaszczytniejsze miejsce. Jeżeli komu, chlubna nazwa prawdziwego miłośnika ludzkości przyznana być może, to Cobdenowi sprawiedliwie się ona należy. Sprawie powszechnego dobra oddane, życie jego upłynęło wśród ciągłéj i wytrwałéj pracy; ku temu jedynemu celowi, wszystkie siły swojego ducha skierowawszy, Ryszard Cobden, dopóty nie zaprzestał walki w obronie przez siebie głoszonych zasad, dopóki ich nie ujrzał zupełnem uwieńczonych zwycięztwem. Pod tym względem można go nazwać szczęśliwym; doczekał się bowiem, że jego zasady wprowadzone w życie, wydały najpiękniejsze owoce. Śmierć takiego człowieka jest dotkliwą stratą dla ogółu, niepowetowaną szkodą dla cywilizacji. Ryszard Cobden, nie tylko jest opłakiwany przez Anglję, któréj był prawdziwym dobroczyńcą, lecz i przez wszystkie narody, pojmujące ważność reform przez niego przeprowadzonych. Cios ten boleśnie się także odbił w sercach tych ludzi, dla których wszelkie ulepszenie społeczne, wszelkie zmniejszenie nędzy w klasach najuboższych narodu, wszelki wzrost pomyślności i dobrobytu ogólnego, obojętnem nie jest, i których postęp cywilizacji szczerze obchodzi. Śmierć zaskoczyła Cobdena wtedy, kiedy się najmniéj tego spodziewał. Zajęty na krótko jeszcze przed skonem nieustanną korrespondencją, tyczącą się wojny domowéj w Stanach Zjednoczonych, któréj końca nie było mu danem doczekać, a czego z całéj duszy pragnął, i w którym to kierunku w ostatnich latach życia swego, najusilniéj pracował, Ryszard Cobden do ostatniego tchnienia walczył za sprawę pokoju i zgody, to jest za sprawę, która była celem i ideałem jego lat młodych, a któréj, rzecz dziś tak rzadka! nigdy się nie przeniewierzył. Życie tak dobrze spełnione, upłynęło w poszukiwaniu szlachetnego ideału *wiecznego pokoju*, a jeśli ktoś wszelkie tego rodzaju usiłowania nazwie tylko próżnem marzeniem, na to odpowiemy, że takie marzenie przynosi największy zaszczyt charakterowi, dążeniom i prawości człowieka. Wszak i wolność handlu była również marzeniem, gdy po raz 1-szy przed laty 30-tu Cobden z przyjaciołmi swemi ośmielił się publicznie w jéj obronie wystąpić; dziś stała się ona rzeczywistością w dwóch najoświeceńszych narodach, to jest, we Francji i Anglji, a niedaleki jest czas, w którym inne narody pójdą za ich przykładem. Nie śmiemy twierdzić, że to samo będzie miało miejsce z zasadą zaprowadzenia *wiecznego pokoju*, że usunięcie wojny z powierzchni ziemi, tyle


(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie K. Krzyżanowski).

tylko będzie kosztować trudów, co zniesienie cła zbożowego w Anglji, lub obniżenie wysokiéj taryffy towarów zagranicznych; nie, bezwątpienia, tego nawet przypuszczać nie można, a dziś mniéj jeszcze niż kiedykolwiek; lecz powtarzamy, jeżeli to jest marzenie, to w każdym razie najzacniejsze, jakiem człowiek szlachetny uwiedzionym być może. Cobden zanadto jednak znał świat i ludzi, zanadto był Anglikiem i człowiekiem praktycznym, ażeby był mógł wierzyć w natychmiastowe ziszczenie się swych nadziei; ufał tylko, że kiedyś, kiedyś, ludzie z mniejszym zapałem będą wytępiać jedni drugich; że promienie chwały, nie tylko będą otaczać głowy tych, co tysiącami istot ludzkich zasiewali pola bitew, lecz, że troszkę dostanie się jéj i tym, którzy dzieło pokoju i zgody i wiarę w powodzenie swéj pracy przeprowadzali; a nadewszystko, że przyczyny krwawych wojen z wzrastającą i szerzącą się cywilizacją, będą coraz rzadsze, i ograniczą się jedynie do niepokonanéj konieczności.

Działalność Cobdena w zawodzie publicznym, można podzielić na dwa okresy, to jest pierwszy, od czasu wybrania go na członka izby handlowéj manchesterskiéj, do roku 1846, a drugi, od tegoż roku, do ostatnich chwil życia. W pierwszym zajmował się głównie przeprowadzeniem reformy zbożowej w Anglji; w drugim pracował najwięcéj nad pozyskiwaniem adeptów, dla swéj idei *wiecznego pokoju;* przyczynił się nader skutecznie, do zawarcia traktatu wolnego handlu, pomiędzy Francją i Anglją, będącego wzorem tego rodzaju układów.

Po raz pierwszy występującego publicznie, widzimy go w izbie handlowéj Manchestru, i razem z przyjaciołmi swemi krzątającego się nad organizowaniem stowarzyszenia, znanego późniéj pod nazwą: Anti corn (aws league) związek w celu zniesienia praw zbożowych. Należeli do niego ludzie tacy, jak: *Bright*, *Mihor*, *Gibson*, *Gisborne*, *Ewart*, *Fox*, *Jamos i George Wilson*, i wielu innych, ożywionych najwyższym zapałem dla sprawy, pod któréj sztandar się zaciągali. Co to zaś była za sprawa, i jakiéj ważności dla klass ludowych w Anglji, okaże nam, chociaż krótka, tylko wzmianka o ówczesnem prawodawstwie angielskiem, tyczącem się przywozu zagranicznego zboża, oraz opłat i cen zbożowych w ogólności. Nie mogąc tu wchodzić w szczegóły, nadmienimy, iż nosiły one na sobie wyraźną cechę przywileju i monopolu, na korzyść klassy rządzącéj w Anglji, to jest arystokracji, czyli wielkich właścicieli ziemskich, a prowadzących za sobą wielką szkodę i krzywdę najuboższych klass narodu. Stanowiły je zaś równie pewne opłaty od wprowadzonego do kraju i z zagranicy zboża, które w latach zwyczajnych zbiorów, podnosiły cenę chleba, znacznie nad wartość naturalną, a w latach nieurodzaju, narażały najuboższe klassy na głód. O ile pragnął zniesienia tego opodatkowania zagranicznego zboża, o tyle arystokracja, mająca w tem swoje widoki i zyski, starała się je utrzymywać! Taki stan wywoływał wzburzenie umysłów, niebezpieczne bardzo dla spokojności publicznéj, gdyż lada chwila, mogło się ono otwarcie w domową wojnę zamienić. Z każdym dniem, położenie stawało się groźniejszem. Wielkie miasta, zwłaszcza, ogniska roboczéj i ubogiéj ludności, w nieustannéj były agitacji, którą nieprzyjaciele porządku, na swą korzyść starali się wyzyskiwać. Ująć to wzburzenie ludu w karby, zapanować nad niem i wymódz na arystokracji zniesienie cen zbożowych, a to wszystko drogą pokoju i zgody, oto był cel organizatorów i zwolenników ligi, (związku). Dla dopięcia swych planów, nie szczędzili oni, ani czasu, ani wymowy, ani pieniędzy. Wszystkiemi sposobami starali się pozyskiwać sobie, jak największą liczbę stronników. Sprawa ich zresztą była tak popularną, że tłumy ufały im na ślepo, i wszystkie swe nadzieje w nich pokładały. Tworzono meetingi, miewano mowy na placach i ulicach znaczniejszych miast, rozprawiano gorąco po dziennikach, dyskutowano z zapałem w parlamencie; lecz przywiléj, który zwalić chciano, tak ważną grał rolę, w ówczesnem urządzeniu społecznych stosunków, że strona, którą przestraszała nawet myśl wszelkich w tym względzie zaprowadzonych nowości, i któréj wzruszano tym sposobem większe znaczenie i powagę, broniła go z całą energją i świadomością rzeczy, a przytem i z niepospolitą zręcznością, w czem szczególniej celuje angielska arystokracja, i czego tak liczne dawała ciągle i dziś daje jeszcze dowody. Walka z obu stron była prowadzoną z prawdziwym angielskim uporem, i kto wie, jakie byłaby wywołała następstwa, gdyby nie przyjście do władzy w tym czasie jednego znakomitego człowieka, którym był tak wsławiony późniéj Robert Peel. W roku 1841 Peel wrócił do ministerjum, stanąwszy na czele angielskiego gabinetu. Od tegoż roku Ryszard Cobden zasiadał w parlamencie, gdzie swą wymową, trafnem traktowaniem najznaczniejszych ekonomicznych kwestji, zajmujących wówczas umysły, zwrócił na siebie ogólną uwagę. Miejsce jego było na ławach opozycji. Na wszystko co wychodziło z ust jego, pierwszy minister, Robert Peel baczną zawsze zwracał uwagę, a ulegając powoli, jako umysł szlachetny i prawy, wpływom tych tak gorąco i serdecznie bronionych zasad, stopniowo nakłaniał się ku ich wyznawcom, i w następstwie okazało się, że niemniéj potężnie jak i sam Ryszard Cobden, przyczynił się do ich ostatecznego zwycięztwa.

Po kilku latach najgorętszych prac i zachodów, związek doczekał się nareszcie owego wielkiego dnia, w którym najgłówniejsze, a tak upragnione przez niego reformy, przedstawione w formie billów izbom, przez takowe zanotowane i stanowczo przyjęte zostały. Cła zbożowe zniesiono, przywilej obalono. Cel związku był osięgnięty. Cobden i jego przyjaciele zwyciężyli; lecz to zwycięztwo drogo im okupić przyszło, zdrowiem i majątkiem przypłacili wygraną.

Związek, po ostatecznem zanotowaniu od siebie przedstawionych wniosków, przez tak nazwany Imperial parliamont w roku 1846, rozwiązał się, uznawszy swoją missję za skończoną. Tu się zamyka pierwszy okres publicznéj działalności Cobdena.

Po roku 1846, znajdujemy go zajętym bezustannie popularyzowaniem zasady, wolnego handlu i trwałego pokoju, z których pierwsza, w niezbyt długim przeciągu czasu, znalazła praktyczne zastosowanie, a druga, czeka jeszcze spełnienia. Traktat wolnego handlu pomiędzy Francją a Anglją, był jego dziełem. Wysłany w 1858 przez Rząd angielski do Paryża, w celu zaprowadzenia pewnych przemian w dotychczas istniejących umowach celnych, umiał tak szczęśliwie rzeczy poprowadzić, że na drodze półurzędowéj, przy pomocy pana Mi-

chała Chevalier, traktat wolnego handlu, pomimo wahań i ociągań się francuzkich mężów stanu, stanowczo ułożonym i przyjętym został.

Wkrótce potem, bo w dniu 23 stycznia 1860 r. nastąpiła wymiana ratyfikacji [1]). Rezultaty okazały się jak najlepsze. Francja pozawierała następnie umowy handlowe, na tych samych zasadach, z Włochami, Belgją, Prusami, Szwajcarją, i dobre skutki, jakich się po nich spodziewano, po większéj części sprawdziły się. Przyszłość, zdaje się, pożyteczność i wysoką praktyczność zasad, na których opierał się Cobden, jeszcze dobitniéj wykaże. Zawarcie traktatu wolnego handlu między Francją i Anglją, jest ostatnim czynem Cobdena, który zjednał mu ogólne uznanie i postawił go w rzędzie najznakomitszych mężów stanu i ekonomistów. W pracach i usiłowaniach swoich, tyczących się utrwalenia wiecznego pokoju i zapobiegania szerzeniu się wojny domowéj w Ameryce północnéj, którym ostatnie chwile pięknego swego życia poświęcił, niestety! nie był tyle szczęśliwym. Głos rozsądku i miłości chrześcijańskiéj, rozbił się o ślepotę i rozpasanie się, najstraszniéjszych namiętności ludzkich!

Na zakończenie damy tu kilka rysów z prywatnego życia Cobdena.

Urodzony w roku 1804, w hrabstwie Sunen z ubogiéj rodziny właścicieli rolników w Midkurst, wcześnie oddał się zawodowi fabrycznemu, w którym tyle zdolności okazał, iż już w roku 1835, stał na czele zakładu wyrobów bawełnianych (drukowanych) w Manchester pod firmą: *Cobden's sons*. Podróżując wiele skutkiem interesów, miał sposobność studjować na miejscu nie jedną kwestję ekonomiczną, w których trafnem i szybkiem pojmowaniem, późniéj tyle się odznaczał. Wstąpiwszy w roku 1841, do izby gmin, i poświęciwszy wszystek swój czas interesom publicznym, zaniedbał swoje własne do tego stopnia, że przy końcu życia byłby się z całą rodziną znalazł w prawdziwem niedostatku, gdyby nie subskrypcja narodowa, która w przeciągu kilku dni przyniosła 50,000 funtów szterlingów (przeszło 2,000,000 złp.) i zapewniła mu tym sposobem wygodne utrzymanie na resztę życia. Cobden był człowiekiem najmilszego obejścia się, od natury obdarzony był jasną i przekonywającą wymową, któréj nie silił się ustrajać retorycznemi kwiatami, chociaż należał do liczby najpierwszych tegoczesnych ekonomistów; książek wcale nie pisał, wyjąwszy dwóch broszur, które wydał przed rokiem 1846, pierwszą o „Anglji i Ameryce," drugą o „Rossyi;" lecz listy po nim powstałe dochodzą olbrzymiéj cyfry, korespondował on ze wszystkiemi niemal znakomitościami naszego wieku. Szacunek i popularność otaczały go powszechnie. Cobden odznaczał się przytem, niepospolitą nawet w Angliku niepodległością charakteru. Rząd Angielski naraz ofiarowywał mu wysokie posady, a między innemi tekę ministerstwa spraw wewnętrznych, których nigdy przyjąć nie chciał, z obawy, jak sam wyznawał, aby kiedy nieznalazł się w konieczności bronienia zasad i czynów, których nie uznawał, lub potępiał.

Cesarz Napoleon, dowiedziawszy się o śmierci Cobdena, napisał do żony i córek jego list, wyrażający gorące współczucie dla ich boleści i zarazem świadczący o żalu, jakiego ludzkość doznaje, poniosłszy w jego osobie tak ciężką stratę. Izby angielskie, ciało prawodawcze francuzkie, oddały publiczny hołd jego pamięci.

Obecnie w Anglji, zbierają się składki na wystawienie pomnika Cobdenowi w Manchester. Naród, otoczywszy go najwyższą sympatją za życia, po śmierci, w marmurze chce oblicze jego uwiecznić. Anglja, ta błogosławiona ziemia pracy i bogactwa, umie cenić, swych wielkich synów; oby i inne narody tym szlachetnym śladem podążać chciały.

Konstanty Wzdulski.

[1]) Do urzędowych układów należeli: ze strony Francji panowie Borsche i Rouher: ze strony Anglji Ryszard Cobden i lord Cowley, poseł angielski w Paryżu.

CÓRKA RZEMIEŚLNIKA.

(POWIASTKA OBYCZAJOWA).

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 28).

V.

„Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola."
(*Mickiewicz*).

Od kilku już godzin zgromadzeni goście u pani Maciejowéj, bawili się wesoło. Sąsiadki i sąsiedzi, ze swemi córeczkami i synami, jak przystało na porządnych rzemieślników, zeszli się zaraz po południu, aby o dziesiątéj z wieczora wrócić do domu, jak każe zwyczaj i gospodarstwo.

Panna Joanna poraz setny odbierała powinszowania, czułe uściski i hałaśliwe pocałunki tłustéj jéj rączki. Pozawiązywały się już nawet pary taneczne, a ochocza drużyna wiwijała uczone i nieuczone tańce, według tego, jak kto umiał i chciał. Tylko panna Joanna, jakkolwiek bohaterka wieczorynki, coś nie w humorze, a ten sam los dotyka także i mamę. Jakiś niepokój je ogarnął, co chwila to córka, to matka spoglądają na zegar...

— Już ósma! szepcze Joasia.

— Tak, a ich niema i niema!..... dodaje matka. Możeby dać już herbatę... co Joasiu?

— Jeszcze chwileczkę, moja mateczko.

Do téj niezadowolonéj dwójki, przyłączyć nam należy pana Petra. Targa on wąs gwałtownie, nachmurza brwi, i niespokojnie co chwila pogląda ku drzwiom. Widno w piersi poczciwego Petra, drga jakieś uczucie, jakieś niepewne oczekiwanie. Lecz za to pan Maciéj w osobnéj warsztatowéj izbie, zasiadłszy, bawi się wesoło, i z dobrze pojętą swobodą, wraz z gronem wiernych współbiesiadników. Tu i owdzie porozrzucane, wypróżnione butelki, świadczą iż rumieńce zacnych majstrów, wypłynęły z tego obfitego zdroju, którym nas panowie tak obficie raczyli. Zeszła się tu sama starszyzna i najtęższi suszykufle, między któremi réj wodził p. Maciéj i trzéj majstrowie niemcy. Jakby pogardzając resztą fuszerów, obsiedli oni osobny stolik, na którym, prócz lampy i czterech potężnych rozmiarów kufli, nic innego się nie znajdowało. Kufle pokryte były wiekami, podnoszącemi się jednocześnie, jak na komendę, skoro ożywczy napój miał przelać się w gardła biesiadników. Z ust buchały kłęby dymu, ciągnione zkrótkich porcelanowych fajeczek. Milczenie panowało grobowe, czasami tylko ktoś rzucił słówko, pół-polskie, pół-niemieckie.

I rozmowa milkła, wyciągały się ręce do kufli, stukały odmykane pokrywy, bulkotało w gardłach piwo pieniste, pykały kłęby dymu, i cichość znowu zalegała izbę warsztatową.

Tymczasem w izbie gościnnéj, zabawa zwolna ustawać zaczęła, gdyż puste żołądki gości, dopominały się praw swoich. Czekano powszechnie na kolację, a kolacja na panią Rajfurskę i jéj trzechtysięcznego kuzyna. Tych zaś długo, długo nie było widać. Z uderzeniem dopiero ósméj godziny, rozwarły się drzwi, i poważnie z wielką godnością wtoczyła się pani Rajfurska, a za nią dość butnie wszedł p. Alfons, wyświeżony i cały pachnący.

Gdyby piorun uderzył przed samemi drobnemi stopkami Joasi, niebyłaby się tyle zdziwiła, jak ujrzawszy w panu Alfonsie wczorajszego swego znajomego. Wielkie raki jak dwie piwonje, wykwitły na jéj miłéj twarzyczce, co nieuszło uwagi uradowanéj mamuni, uśmiechniętéj pani Rajfurskiéj i Petra, który z widoczną niechęcią przyglądał się przystojnemu fircykowi.

Po tysiącznych dygach i przedstawieniach, po licznem a głośnem szuraniu nogami, nareszcie zdołano przyjść do bawialni, gdzie towarzystwo zgromadzone dawniéj, ciekawie zaczęło się przyglądać nowo przybyłym.

— Patrz! patrz! szeptała pani Ciesielska, podżyła matrona, pani Szewczyńskiéj na ucho, oto nowy konkurent do Joasi, podobno ć urzędnik.

—Stręczy go tu Rajfurska, wtrąciła Stelmasiewiczowa, osoba chuda a wysoka, znana ze swéj złośliwości w języku.

— Coś mi się wydaje, że ta pani Rajfurska łowi zwykle ryby w mętnéj wodzie. Ten paniczyk coś za wiele grafowaty i niepatrzy na męża dla Joasi...



Ujrzawszy w panu Alfonsie znajomego.—(str. 224, szp. 2).—(Rysował Rudzki—wycięła p. Zofja).

— O to dziewczyna zalotna! znów wtrąciła Stelmasiewiczowa, nietrudno z nią będzie.

— Ale to matka wciąż w głowie jéj przewraca i dmie dumą nierozsądną...

— Niby to Joasia umie parle, parle, i brum drum, z przekąsem wołała Stelmasiewiczowa.

— Oho! i moja Rózia też gra i mówi po niemiecku, rzekła z flegmą Ciesielska, a ja dla niéj niepragnę jeno uczciwego rzemieślnika...

W ten sposób i daléj prowadziły swą gawędkę sędziwe rzemieślnikowe, usadowione rzędem na kanapie. W drugim kątku pokoju młode dziewczęta szeptały:

— Patrz, oto kawaler Joasi, mówiła jedna.

— Podobno urzędnik trzechtysięczny!

— Jakie ta Joasia ma szczęście!

— Chociaż przecie wcale nie jest tak ładna!

— A nawet niezgrabna! tańczyć nie umie...

— Ale mówi po francuzku i gra na fortepianie.

— Ach! ona tyle mówi po francuzku co i ja! a ja tyle mówię co i ryba...

Zachichotały się panny, widocznie piekła je zazdrość ku Joasi.

Przy wielkim kaflanym piecu w rogu izby, stała młodzież, jak to zwykle bywa na wszelkich zabawach. Między niemi stał i Peter!

— Przypatrzno się, rzekł do niego jakiś młody czeladnik, jak ten gaszek siarczyście się przysiada do Joasi.

Petr tylko mruknął i pięść ścisnął.

— Pobiorą się, rzekł drugi.

— Ej będzie to będzie!...

— Joasia dumna dziewczyna, a matka jeszcze więcéj, byleby tylko się na téj dumie niepoparzyły.

— Coś to z tego wyniknie, konkludował któryś; patrzno jaki Peter zły... blednie i czerwienieje.

— Nie radzę temu paniczkowi dostać się w jego łapy, jak ściśnie to go zgniecie!

— A co to oleju wyciśnie z téj fryzury, cały post możnaby nim opędzić... zauważył któryś, a młodzież grzmotliwym śmiechem ten dowcip przyjęła.

Tymczasem pan Alfons rzeczywiście nie zasypiał gruszek w popiele. Przysiadł się on do pięknéj dzieweczki i z mistrzostwem godnem takiego dandysa, zaczął jéj prawić tysiące słodkich komplementów. Joasia drżąca od wzruszenia, z rumieńcami na buzi, pomięszana, słuchała tych andronów, mało odpowiadając. Z boku zaś, uradowana pani Maciejowa, rzucając dumne spojrzenia na sąsiadki, krążyła koło téj pary tak ogólną, jak to widzieliśmy, w pokoju budzącéj ciekawość.

— Dziwisz się pani, mówił pan Alfons Joasi, że mnie tu widzisz? Rozumiem to dobrze! Lecz czyż mogło być inaczéj! Rozstawszy się z panią wczoraj, zachwycony, oczarowany, użyłem wszystkich środków w rękach moich będących, abym mógł jak najprędzéj panią znowu ujrzeć.....

— Pan tak łaskaw, żartuje ze mnie!..—bąknęła Joasia.

— Ach! czyż możesz pani mówić o żartach, protestował p. Alfons, czyż śmiałbym!? Nie, to co mówię jest szczerą prawdą. A widać, że już było przeznaczonem, abym panią poznał, zacna bowiem pani Rajfurska, ułatwiła mi tak miłą znajomość.

— Pani Rajfurska jest pańską krewną? zapytała Joasia.

— O tak... nie... tak... odrzekł krztusząc się pan Alfons, bardzo a bardzo daleką, prawie znajomą tylko. Ale zawsze będę ją błogosławił, że dogodziła mojéj gorącéj chęci poznania pani. W ten sposób szła daléj rozmowa między Alfonsem a Joasią.

Nareszcie, ku wielkiemu ukontentowaniu zebranych, podano kolację. Dwa towarzystwa: izby czeladnéj i pokoju bawialnego, połączyły wspólnym celu spożycia darów Bożych, przygotowanych drobnemi rączkami Joasi, a tłustemi pani Maciejowéj i pracowitemi chudéj jéj kuzynki. Pani majstrowa, uradowana wrażeniem, jakie uczyniła córa na nowym gościu, usadziła tegoż przy sobie z jednéj strony,

a z drugiéj przeznaczyła honorowe miejsce p. Rajfurskiéj, któréj protekcja tak dużo teraz znaczyła. Ciągła staranność pani Maciejowéj o pełność żołądka pana Alfonsa, niepomiernie go trapiła, a wspaniała wymowa napędzała nie jedno ziewnięcie; słuchał jednak cierpliwie i jadł za czterech, czem kupił sobie do reszty względność mamy dobrodziejki....

— A niechże pan dobrodziéj, jeszcze tylko kawaleczek skosztuje, mówiła p. Maciejowa, to rączkami mojéj Joasi robione... wcale niezłe! o bo moja córka to się zna na kuchni doskonale... wyborna z niéj będzie gospodyni, chociaż i wyższą edukację posiada, umie parle, parle i brum, drum...

— O, nie wątpię, odpowiedział p. Alfons, znać to wszystko na córeczce pani... znać, znać... z jakiego gniazda pochodzi....

Dłużéj jeszcze przeciągnęłaby się kolacja, gdyby nie pewna okoliczność, która zmusiła p. Alfonsa do śpiesznéj rejterady z zastołu biesiadniczego. Podczas dań roznoszono herbatę, a chiński ten trunek tak nowy dla większości biesiadujących, doprawiano obficie araczkiem, stojącym w dość znacznych rozmiarów karafce. Po pierwszéj szklance ilość araku zmalała, a koralowy płyn czerwienił się tylko na dnie. Przy drugiéj szklance, uległ ów arak nie wielkiéj przemianie: ilość jego powiększyła się znacznie, ale kolor zbladł, a zapach przypominał ową miłą woń szumówki, wydobywająca się z otwartych szynczków. Przy trzeciéj szklance, przemiana stała się jeszcze silniejszą; kolor dochodził do białości a zapach do potęgi czystéj wódki. Trudno już było zaprzeczyć, iż pomysłowa choć chuda panna Anna, puściła się na rozmnożenie araku, za pomocą wielkiego gąsiora okowity, aljas siwuchy, którą pan Maciéj w wielkiéj wraz z czeladzią miał obserwacji.

Po drugiéj szklance herbatki, przyprawionéj takim araczkiem, p. Alfons uczuł się nagle w stanie tak wyjątkowym, że i minuty dłużéj niemógł pozostać w bawialni. Ratując się więc zręcznym fortelem, spojrzał na zegarek Czapkowski, i grzecznie oświadczył, że już dłużéj nie może korzystać z tyle miłéj zabawy, bo ważne papiery biurowe, musi przygotować na jutro.....

— Służba pani dobrodziejko, mówił do pani Maciejowéj, służba przedewszystkiem, bo to chleb i moje utrzymanie; pozwolisz więc pani, że zamawiając sobie łaskawe względy na przyszłość, dom tak miły pożegnam.....

I po tych słowach, nie czekając odpowiedzi szanownéj damy, uścisnąwszy w milczeniu drobną rączkę Joasi, szybko ruszył ku drzwiom, zostawiając nawet własnemu losowi p. Rajfurskę. Odwrót ten nagły przejął boleścią p. Maciejowę, która tyle jeszcze miała zadać pytań swemu gościowi, mianowicie tyczących się jego pensji,—trzechtysięcznéj; niemniéj zmartwiła się i Joasia, a zwątpienie o wpływie jéj wdzięków na młodego gościa, przebiegło przez główkę. Lecz za to rozchmurzył swe czoło Peter, rozchichotały się wesołe panny i czeladnicy, a zniknięciu młodego dandysa nie zostało nawet spostrzeżone w szanownem gronie starszyzny, która rada częstowała się araczkiem przyrządzonym w coraz nowych dozach, przez dowcipną pannę Annę.

Tak upłynął dzień S-éj Joanny; takie było bliższe poznanie się p. Alfonsa z ładną dzieweczką z Tamki.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Pan Alfons uczuł się nagle w stanie wyjątkowym.—(str. 225, szp. 1).—(Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Albert R.).

RESTAURACJE DLA LUDU.

2.

Kiedyśmy już w krótkim obrazku ujrzeli stan dzisiejszych garkuchni ludowych, i wykazali jak są niedostateczne i nieodpowiednie potrzebom, zobaczmyż teraz, jak ta sprawa stoi zagranicą, i co tam zrobiono dla niéj. Głosy skarżące się na złą żywność, dla klass robotniczych były tam niezmiernie żywe, a znajdowały łatwy przystęp po dziennikach. Oskarżono garkuchniarzy o fałszowanie potraw, o dostarczanie w stanie nieczystym, niezdrowym do najwyższego stopnia. W Anglji nawet, sprawa wytoczyła się przed parlament; gadano o niéj i pisano dużo, ale wszystko na próżno. Bo gadaniem nic się nie stworzy, ale czynem. Niektóre więc stowarzyszenia do-

broczynne, zaczęły zakładać garkuchnie tanie, ale ludność zamożniejsza wyrobnicza czując, że to jałmużna, wstydziła się do nich przychodzić, i traktjernie takie, rodzaj naszych pięciogroszowych obiadów, pozostały bez istotnego wpływu. Dopiero, gdy zastosowano ideję stowarzyszeń, między robotnikami do zakładania restauracji i kupna żywności, zaczęto osiągać zamierzony skutek. Takie stowarzyszenia powstały dość liczne we Francji pod nazwą: „l'association pour la consomation" i w Niemczech noszące tytuł: Die distributive Association. Opiszemy niektóre z francuzkich, dając im pierwszeństwo nad angielskiemi, gdyż dla nas zdają się praktyczniejsze. Zasada ich jest bardzo prosta: bo opiera się na tym pewniku, że ceny przedmiotów do życia zakupionych ogółem, z pierwszych rąk, wypadają taniéj, niż sprzedawane częściowo, u małych przekupniów, pragnących na sprzedaży mieć duże zyski. Jeżeli więc kilkudziesięciu lub więcéj robotników złączy się z sobą, to taniéj i lepiéj obżywią się, niż gdyby pojedyńczo, każdy z osobna się utrzymywał. Oto jest cały sekret powodzenia. Co do zarządu spółki i prowadzenia jéj interesów, można go urządzić w dwojaki sposób: albo wybiera się rada gospodarcza, z pomiędzy stowarzyszonych, która urządza lokal na garkuchnię, zakupuje żywność za pieniądze składkowe, czuwa nad jéj porządnem zgotowaniem i sumiennem wydaniem; albo też wybrana rada, godzi się z jakim przedsiębiercą-restauratorem, warunkując ceny, po których ma sprzedawać żywności pilnując, aby pokarmy były świeże i zdrowe, a porcje oznaczonych rozmiarów. Przemysłowiec, mając zapewniony odbyt, może ustąpić pewien procent za żywność, który jest zyskiem stowarzyszonych robotników. Nadto mają oni pewność co do świeżości i dobroci pokarmów. Pierwszego rodzaju stowarzyszenie istniało pod nazwą l'humanité, przez dwa lata w mieście francuzkiem Lille, a liczyło już 1432 członków z rodzinami. Miało ono swoją jatkę, do któréj zakupywało bydło, i sprzedawało członkom mięso niżéj taksy, bo po cenie kosztu. I tak, kiedy taksa urzędowa wynosiła 65 centimów za kilogram (kil. $2^1/_2$ funt. cent. 2 na gr.) mięsa wołowego w jatce, członkowie nabywali takowe po 50 centimów, a zatem o $^1/_4$ taniéj. Toż samo chleb sprzedawał się niżéj o $2^1/_2$ centimy na kilogramie czyli po $^1/_2$ kop. na funcie. Niemniéj w kwitnącym stanie znajdowała się restauracja towarzystwa, uczęszczana nie tylko przez stowarzyszonych, ale i obcych robotników. Może kto zarzuci z krótko-widzących, iż ci ostatni nie mieli prawa korzystać z dogodności stowarzyszenia. Lecz nie należy zapominać, że im większy zakład ma odbyt, tem łatwiéj mu taniéj i lepiéj jeść dawać, wszystko za *gotówkę*, bo kredyt stanowczo wyłączony.

W innych miejscowościach istnieją częściowe stowarzyszenia tego rodzaju; w Sedanie robotnicy fabryk sukienniczych, założyli tak nazwany: epicerie commune, to jest sklep spólny, w którym sprzedają żywność dla członków po cenach najniższych; w Hobvillien, robotnicy założyli wspólną piekarnię, na wzniesienie któréj potrzebną sumę udzielono im bezprocentowo; każdy z uczestników miał książeczkę, w któréj zapisywano wzięty produkt i cenę. Po trzech tygodniach odbywała się wypłata.

Drugiego systematu w prowadzeniu spółek robotniczych pokarmowych, chwycono się w Wesserling i w Mulhouse w Alzacji, gdzie przemysł tak silnie jest rozkrzewiony. W téj pierwszéj miejscowości, pewna liczba robotników stowarzyszyła się, wzajemnie zobowiązała i poręczyła przedsiębiercy sklepu i traktjerni, regularną upłatę sum, za kupno chleba, mięsa i potraw w garkuchni, aby tylko dawane były w odpowiedniéj dobroci i z odstąpieniem pewnego procentu. Daleko znakomitsze i praktyczniejsze jest urządzenie w Mulhouse, gdzie śród grodu rzemieślniczego stowarzyszenie założyło restaurację; opiszemy ją według sprawozdania jednego ze zwiedzających.

„Jedno ze stowarzyszeń, mających na celu dostarczanie pożywienia ludziom mniéj zamożniejszym, uorganizowało się w dzielnicy Dornach na przedmieściu Mulhouse w 1848 r., i w początku napotkało niejedną przeszkodę; lecz biorąc na uwagę prawdziwe korzyści, jakie zakład podobny przynosi, stowarzyszenie grodu rzemieślniczego, nie wahało się porozumieć z nim, dla urządzenia restauracji, przeznaczonéj wyłącznie dla swoich mieszkańców. Stowarzyszeniu temu zarzucano przedewszystkiem, iż przypuszcza do restauracji osoby zamożniejsze, które tym sposobem korzystają z dobrodziejstwa, mającego być udziałem jednych tylko robotników. Doświadczenie jednak przekonało, iż jest istotna korzyść w takim udziale konsumentów, przyzwyczajonych do pożywania większéj niż inni ilości mięsa; przez to bowiem zupa, w któréj gotuje się więcéj mięsa, zyskuje na mocy i smaku. Ztąd widocznie korzyść dla ubogiego i saméj reputacji zakładu. Drugi zarzut był większéj wagi. Utrzymywano, iż stowarzyszenie daje zbyt małe porcje zupy i jarzyny. Ale celem stowarzyszenia było zastąpienie przez pokarmy pożywniejsze, lubo w mniejszéj objętości, więcéj rozwodnione, które tylko chwilowo oszukują wygłodzony żołądek, tak, że po niejakim czasie wraca głód, i ten tylko chlebem może być zaspokojony. Przekonano się, iż potrzeba pewnego czasu, aby robotnik przywykł do pokarmów mniéj obfitych a bardziéj pożywnych, lubo zbawienny wpływ wywierających na siły i zdrowie. Przezwyciężywszy te przeszkody, dziś restauracja wybornie się utrzymuje, i każdy mieszkaniec w niéj za cenę 35 centimów (18 groszy) zjeść może kompletny obiad lub też na porcje, których cena: chleb 3 grosze, zupa mięsna lub postna 5 gr., a wołowina, jarzyna, tyleż pieczeni cielęcéj 8 groszy. Gastronomiczny ten zakład posiada swój osobny regulamin, w którym zastrzeżono, iż nie wolno gościowi sprzedawać więcéj nad półkwarty wina i palić fajki. Jest to wykonywane ze ścisłością, i chroni zakład od zamienienia się w knajpę."

Oto, co przedstawia Francja godnego do naśladowania przez nas pod tym względem. Do urządzeń Angielskich, mianowicie tak nazwanych restaurcji przenośnych, powrócimy raz jeszcze, ale już chyba nieco późniéj, aby nieznurzyć uwagi naszych czytelników. W końcu tylko zachęcamy gorąco, drobnych a uczciwych kapitalistów, aby, rozważywszy ten przedmiot, po porozumieniu się z rzemieślnikami, pracę swoją i kapitały w tym kierunku skierować chcieli.

SZTUKA WYSZUKIWANIA ŹRÓDEŁ.

Sztuka poszukiwania źródeł sięga najodleglejszéj starożytności, bowiem potrzeba tego żywiołu po wszystkie czasy była jednakowa, i już Pindar znacząco się odzywa: „Nadewszystko cenię wodę." Mojżesz, którego kabalistyczne podanie mianuje dziedzicem urznię-

téj przez Adama z drzewa wiadomości rószczki, uderza takową pod Rapchidem w jałową skałę, a dla ocalenia jego omdlewającego ludu, wytryska źródło. Danaos opuszcza swoją ojczyznę Egipt i otwiera spragnionym Argolidom 50 źródeł.

Podług wzmianek u Mistruciusza, Plinjusza, Palladjusza, Kassjodora i innych, Rzymianom ta sztuka także obcą nie była, a w niéj najbieglejszemi zapewne byli Etruskowie, wyćwiczeni również w przyrodzonych naukach. Następnie sztuką tą zatrudniali się ludzie, którzy albo ogarnięci byli pobożnem omamieniem, albo prosto oszuści, którzy wyzyskiwali z różnem dla siebie powodzeniem, łatwowierność tłumów. Pomiędzy takiemi wędrowcami z rószczką, najwięcéj może w swoim czasie zjednał sobie sławy francuz Bleton, nie tyle dla znacznéj liczby źródeł, które rzeczywiście odkrył, ile raczéj dla szczególnéj zręczności, z jaką swoją rószczkę prowadzić umiał. Liczni francuzcy uczeni, wysłani przez Akademję nauk do przypatrywania się jego doświadczeniom, tak dobrze dali się przezeń połapać, że ich spostrzeżenia sprowadziły nową teorję. Skoro tylko Bleton zbliżał się do podziemnego nurtu źródła, uczuwał mocne uciskanie w błonie poprzecznéj, poczem następowały wtrząśnienia całego ciała, nogi się chwiały, ścięgna rąk tężały i poruszały się konwulsyjnie, uderzenia tętna słabły a niekiedy przystępowało omdlenie. Zarazem ważył on niezwykłym sposobem jedną może stopę długą rószczkę na wielkim i wskazującym palcu lewéj ręki, a jéj wahania się wskazywały bieg wody. Zostawmy domysły i rozumowania na boku; niezawodnem jest jednak, że niektóre zwierzęta z zadziwiającą pewnością o całą milę drogi w stanie są zwęszyć obecność wody, jak wielbląd w pustyni. Mustang na równikach a ludzie rzeczywiście wilgotną treść atmosfery uczuwają pojedyńczemi odnogami, zwłaszcza członkami amputowanemi. Znany professor odu baron Rejchenbach to poczucie wody przypisywał naturalnemu uczuciu odu, i dla tego opata Paramella ogłosił poprostu za wielkiego czułka. Paramelle najsławniejszy poszukiwacz źródeł we Francji, był proboszczem w parafii Św. Jana l'Espinasse i miał zręczność ocenić w całéj rozciągłości potrzebę wody w tych okolicach. Z zapałem rzucił się zaraz do badania formacji gruntu miejscowego, a po upływie 10 lat tak daleko zaszedł na drodze doświadczenia, że francuzkiemu rządowi mógł ofiarować pomoc w wyszukiwaniu źródeł. Rząd przyjął jego propozycję, a wkrótce pomyślne wypadki rozniosły szeroko jego imię. Od 1852 do 1853 r. objeżdżał kraj nieustannie, od marca do grudnia wszędzie przyjmowany z entuzjazmem zrazu okrzyczany za czarownika, potem otoczony jak posłannik Boga, prawie jak drugi Mojżesz. W przeciągu 25 lat Paramelle odkrył około 10,000 źródeł, rzadko się myląc, a gdy w 60 roku życia zaprzestał swych mozolnych podróży, ogłosił drukiem naukę o źródłach która praca dowodzi, jak mało miał pretensji do nazwy czułka, a tem mniéj wielkiego uczonego i geognosty. Jeżeli jego czyny graniczyły z nadludzkiem i cudownem, człowiek oświecony widzi w tém tylko, że dokładna znajomość formacji gruntu, a nie chorobliwa drażliwość czułków tu rozstrzyga, albowiem żaden z tych ostatnich niedokaże tego, co czynił Paramelle, a mianowicie z wierzchołka góry wszystkie źródła nieznanéj mu dotąd okolicy leżącéj pod jego nogami ukryte jak dopiero na jaw wyszłe, wykazać jakie doświadczenie nie raz odbywał, z osłupieniem przerażonego ludu. Wprost ze szkoły Paramelle pochodzi opat Richard (Ryszard) najsławniejszy poszukiwacz źródeł naszego czasu, godny uczeń wielkiego mistrza. Jeżeli się zastanowimy jak wielkiem dla suchéj okolicy dobrodziejstwem jest odkrycie źródła wody, przyznamy, że Paramelle i Richard dobrze się zasłużyli ludzkości.

O NADUŻYCIU W PALENIU TYTUNIU.

W wieku dzisiejszym daje się to wszędzie spostrzegać, że ludzie za wiele używają tytuniu. Nadużycie to rozpoczyna się bardzo wcześnie, gdyż nawet jeszcze w wieku dziecinnym. Ztąd powstają znaczne wydatki bez potrzeby robione i różne niedogodności i nawyknienia zbyteczne, a co gorsze okazuje się z tego jeszcze szkodliwy wpływ na zdrowie. Dla tego też potrzeba zawsze powstawać przeciw paleniu tytuniu, a zwłaszcza w nadmiarowéj ilości i w wieku młodocianym. Najuczeńsi lekarze francuzcy i angielscy zgodzili się na to, że nieumiarkowane użycie tytuniu wywiera bardzo szkodliwe skutki na zdrowie, a przytem skraca życie. Wpływ ten, stosownie do indywidualnéj organizacji ludzi, działa na jednych więcéj zgubnie jak na drugich. Nadużycia palenia tytuniu sprawia u niektórych ludzi niebezpieczną słabość, tak zwaną *Narkotyzm serca*, która się z początku objawia przez wyraźną nieregularność bicia serca i pulsów, przy czem zdaje się niekiedy jakby serce od razu stanęło i bić przestawało; kto spostrzeże u siebie ten wypadek niechajże natychmiast przestaje palenia, jeżeli się niechce na największe niebezpieczeństwo narazić.

ROZMAITOŚCI.

Nadesłano nam opis zdarzenia autentycznego w pewnym zamożnym domu, którego w całości nie zamieszczamy, robiąc atoli z niego stosowny wyciąg, o ile na to dążność i ramy pisma pozwalają. Otóż chodzi o to, że pewna uboga i pracowita panienka, przybywszy do domu niejakiéj pani R. na wezwanie do szycia, nie przypuszczona do audjencji z samą panią wystawioną była na przykre doświadczenie, jakie jednak niestety! w naszem mało udoskonalonem społeczeństwie, dość często ubogich ludzi dotyka. Usłyszała ona wyrazy pani R., zakazującéj wpuszczać ją do siebie nacechowane nie tylko brakiem miłości bliźniego, ale i brakiem dobrego wychowania, którego to braku ani purpurowe kotary buduaru, ani liberja gładkich lokajów, ani wory złota i miliony pereł nie zastąpią. Czując boleść biednéj onéj dziewczyny, podnosimy ten fakt w téj tylko myśli, aby upomnieć serdecznie wszystkich ludzi pracy i zarobku, iżby się podobnemi przykrościami nie zrażali nigdy. Są to próby zesłane ludziom od Boga, przed któremi mocny duch upaść nie powinien. Pracujmy i nie lękajmy się gorzkich szyderstw niedobrych i niemądrych ludzi, chociażby nam przed nosem złociste podwoje zamykali; jest wielki i pyszny pałac, tysiąc razy strojniejszy i wspanialszy od wszystkich ziemskich, złocistych, przygotowany i otwarty dla wszystkich, do którego napróżno pukać będą tacy, którzy miłości bliźniego nie znali, a w którym najwięcéj usiędzie ludzi takich, którzy na ziemi cierpieli i pili gorycz żywota, podawaną im przez zepsutych blichtrem i fałszywym blaskiem.

— Wieloryb z natury jest bardzo spokojny, nawet lękliwy. Przypuszczano, że łatwo może żyć od 9 do 10 stuleci, że od 15 do 20 dni może opłynąć kulę ziemską, tak, że Arago sławny podróżnik, bystrość jego pływania, przyrównywa tylko do lotu błyskawicy.

— Spartańczykom nie wolno było modlić się za siebie, ale tylko prosić Boga, o opiekę nad ludźmi poczciwemi.







LATO.

Już święty Jan ochrzcił wody,
Cicho, głucho w głębi sioła,
Dzieci biegną na jagody,
Szumią kłosy w dniach pogody,
A przepiórka w pole woła.

W pole woła przepióreczka;
Z góry słonko grzeje, parzy,
A przez pole idzie steczka:
Z dwojaczkami śle mateczka,
Dziatki swoje do żniwiarzy.

Lato!—lato! brzęczą kosy,
Warczą sierpy po zagonie,
W krąg padają złote kłosy;
Bocian wzbił się pod niebiosy,
Krąży pszczółka, w chmurach tonie...

O! jak miło w cieniu drzewa,
Ledz na miedzy z ciężkiéj pracy,
A na gruszy dzwoniec śpiewa;
Z wzgórza wiatrak czeka mlewa:
Daléj dziewki! i chłopacy!

Daléj! wstawać!.... grożą chmury,
W chmurach kania deszczu pragnie;
A skowronek szaropióry,
W ciche brózdy spada z góry,
Derkacz z dala krzyczy w bagnie.

(Rysował Tegazzo). (Wyciął na drzewie Krzyżanowski).

Co za radość dla żniwiarzy!
Nowa praca, nowe plony!
Zwożą snopy młodzi, starzy;
Gdy zajączek się nadarzy,
Dzieci za nim przez zagony!

Lato!—lato! brzęczą kosy,
Warczą grabie po zagonie,
Człek spragniony chłodu, rosy,
Wzrok ufności śle w Niebiosy,
I ociera z potu skronie.

Józef Grajnert.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 7 (19) Lipca 1865 r.